

## Szeł arteli.

— Podła robota! — mruknął Troński, wbijając silnymi uderzeniami maczugi zastrzał między dwie deski.

Robotnicy pracowali od szóstej rano, stojąc w wodzie po kostki przy zakładaniu rur ściekowych, które źle zachodziły jedno w drugie na wilgotnym piasku.

Szeł arteli idąc brzegiem podkopu zbliżył się. Był to mężczyzna małego wzrostu, łysy, nerwowiec, z osobliwymi okularami w żelaznej oprawie, podskakującymi mu za każdym krokiem na nosie.

— Troński! — zawołał pochylając się z pięściami na biodrach i rozkraczonymi nogami, by nie potknął się w lepkiem błocie.

— Patronie? — odezwał się podmajorstry pytającym tonem podniósłszy głowę do góry.

— Trzeba pójść na ulicę de la Mer, Rura pękła tam.

— Słucham, patronie.

Szeł odcinka oddalił się, przystając co chwila i nie szczędząc rad i wskazówek po drodze.

Robotnicy lubili go, gdyż nie był dumny, nie wzdrygał się tracić kieliszkiem z nimi i nagradzał łatwo.

W parę minut potem znajdował się na samym dnie podkopu, gdzie ująwszy w dłoń jedną z rur wagi osiemdziesiąt kilo, którą sześciu robotników wprzgniętych w linę przesuwało z miejsca na miejsce z trudem, spytał krótko:

— Spad jest?

Jeden z robotników skinął potakująco głową, dodając przytem:

— Dziesięć milimetrów na metrce. To dosyć chyba?

Szeł odcinka ofuknął go gniewnie, wznosząc ramionami.

— Co wam do tego? Czy wiecie, że firma traci już trzytysięc franków w tem przedsiębiorstwie?... Że kanalizacja jest wściekle kosztowna w tym pieszczystym, napływowym terenie? Nie?... Więc dajcie mi spokój! Jazda naprzód. Spychać!

Rura zsunęła się, łącząc z poprzednią. Jeden z robotników żwawo scementował fugę (miejsce spojenia) mocnymi uderzeniami szufli.

— Dobrze — bąknął szeł i wyszedłszy z podkopu, wyostał się z brudnymi rękoma na skarpe.

— Gdybym miał — mruknął na odchodnym — wszystkich takich robotników jak Troński — jakośby robota szła. Ale z takimi „wałkoniami“ jak wy... Machnął ręką z niecierpliwością.

— Wiadomo zresztą — myślał w duchu — że muszę „wdepnąć“ zawsze tam, gdzie robota kuleje! Naturalnie! Spółka Akcyjna nie w ciemną bita! Ho! Ho!

Wyprostował się, rad w głębi duszy z opinii, jaką cieszył się w firmie. Lubił przytem swój zawód i związane z nim koczujące życie.

Pół roku tu! Pół roku tam! Wędrował wciąż z północy na południe. Od Bagnoles de l'Orne do Nicei, od Carcasonne do Cham

berry, wożąc z sobą w myśl łacińskiej sentencji:

„Omnia mea mecum porto“. Całe swe mieszczące się w dziesięciu skrzyniach nie wie wraz ze swym ukochanym fortepianem ze zniszczonego w ciągłych podróżach mahoni i o popękanych klawiszach — starym wiernym towarzyszem, na którym młócił na zawołanie Borodina czy Rossiniego co wieczora do późnej nocy by uciec przy jego dźwiękach od jednostajności dnia codziennego.

— Dziesiąta godzina! — szepnął do siebie spojrzawszy przy poprzecznej ulicy na zegarek. — Zajrzę na ulicę de la Mer do Trońskiego. Musi się tam pocić, biedaczysko!

Wtem odwrócił się szybko, usłyszawszy głos wołający go.

Dwaj żandarmi z rękoma na muszce strzelby zdażali ku niemu z pytaniem:

— Pan Legrand?

Szeł odcinka spojrzawszy z pod okularów na zbliżających się zrobił trzy kroki ku nim. Nie lubił ich mundurów. Z grymasem, który miał być uśmiechem na ustach odezwał się:

— Tak jest. Czem mogę służyć?

— Mamy rozkaz od prokuratury w Agen — oznajmił jeden ze stróżów bezpieczeństwa, wyciągając odnośny dokument z portfela — aresztowania niejakiego Trońskiego.

— Za co? — zawołał Legrand, podskoczywszy.

— Za kłusownictwo. Osadzony jest na trzy miesiące więzienia.

— Ależ to najlepszy mój robotnik! — bąknął Legrand z niezadowolaniem.

— Może być — odparł żandarm obojętnie. — My jednak mamy polecenie aresztować go. Czy wiadomo panu, gdzie go szukać?

— Proszę ze mną — rzekł Legrand zamiast odpowiedzi. Trzej mężczyźni poszli ulicą. Szeł odcinka na przodzie. Policjanci w pewnym oddaleniu od niego.

— Tędy — odezwał się Legrand gdy znaleźli się na ulicy de la Mer i ruszył dalej po grząskim błocie. Żandarmi kiwając rękoma jak wahadłem dla utrzymania równowagi szli wślad za nim, podczas gdy partja robotników mierzyła ich badawczym i niechętnym spojrzeniem.

— Troński! — zawołał szeł odcinka po chwili.

Podmajorstry podniósł głowę, kładąc trzymaną w ręku przekąskę do koszyka, z którym mały chłopczyna stał przed nim.

— Po ciebie przyszli — bąknął Legrand wskazując na dwóch żandarmów.

Troński zbliżył i wargi mu drgnęły. Przy ciągnawszy chłopca do siebie, szepnął:

— Biegnij do domu i powiedz mamusi, że aresztują mnie. Niech szykuje mi rzeczy.

Żandarmi podeszli doń.

— Jestem! — odezwał się do nich, rzucając im twarde spojrzenie. Poprawiwszy na sobie ubranie, wyskoczył na brzeg podkopu:

— Sekundę! Pozwolicie? — spytał i nie

czekając odpowiedzi, podszedł do szeła odcinka.

— Patronie!

Legrand, wściekły, zgromił go:

— Idjoto! Nie mogłeś uprzedzić mnie! Towarzystwo umorzyłoby sprawę. Skoro zabierają mi najlepsze siły, na diabła cała robota!

Nachmurzony, wyciągnął banknot pięćdziesięciofrankowy.

— Masz! To dla ciebie — mruknął, podając podmajorstrzemu.

— Patronie! — powtórzył Troński nie ruszając się z miejsca — zachowajcie miejsce dla mnie, wszak prawda? Dziś po południu przyśle zastępcę.

Szeł potrząsnął przecząco głową.

— Dla małego! Zachowajcie, patronie! Przyrzeczcie! — szeptał podmajorstry, patrząc błagalnie zwierzchnikowi w oczy.

— Zgoda! Nie martw się — przystał wzruszony.

— Dziękuję! — odparł Troński z prostotą, podając mu rękę. — Odwdzięczę się da Bóg! I zobaczysz patronie, że nie stracisz na zamianie! Dowidzenia!

— Jestem gotów! — zwrócił się do żandarmów, którzy czekali dyskretnie odwróceniem plecami — pójdziemy koło mego domu, dobrze? Chciałbym uściskać „mamusię“.

Trójka odeszła potykając się na bryłach ziemi.

Szept złowrogi rozległ się w podkopie.

— Do roboty! — huknął Legrand. Robotnicy ucichli.

Szeł zwiesiwszy głowę ruszył naprzód lecz zawróciwszy po chwili, skierował się do siebie i w pięć minut potem przy dźwiękach swego fortepianu usiłował zapomnieć o zajściu.

Okolo godziny drugiej wyszedłszy z domu podążył zgnębiony na ulicę de la Mer.

Jakież było jego zdumienie, gdy wspinając się na skarpe podkopu, ujrzał kobietę, która klęcząc na piasku kierowała robotą. Stanawszy jak wryty zaklął i rozszerzonymi oczyma patrzył. Kiedy rurę ustawiono na miejsce westchnawszy podszedł do kobiety, pytając:

— Cośote za jedni?

Zapytana wyprostowała się. Była ładna jeszcze, o wyrazistych rysach, silna i jędrna. Z falującą piersią rozpostarła zabrudzone ręce. Obrączka ślubna błysnęła na serdecznym palcu.

— Dla małego, panie Legrand — odezwała się błagalnym szepem pokazując chłopca, bawiącego się przy skarpie. — Twarz szeła odcinka wyrażała wahanie. — Kobieta wylekłym wzrokiem spoglądała nań w milczeniu. Robotnicy czekali.

Legrand przygryzł wargi, wyciągnął szyję i wykrztusił:

— No dobrze! Dobrze, panie Trońska! Trzeba będzie pójść na ulicę Marconiego poprawić taflowanie, które grozi zawaleniem. Otóż to! Powiedziawszy odszedł, nie odwracając się szybkoim krokiem,

Salwa oklasków zabrzmiała za jego plecami.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, 31 sierpnia 1930 roku.

Nr. 36.

## Na słońcu i swobodzie.



Z inicjatywy ks. biskupa dr. Tymienieckiego zorganizowana była w Dłutowie kolonia dla 400 starszych i młodszych dziewcząt z Łodzi. Dziewczęta zażywały wszelkich przyjemności, jakich wieś dostarczyć mogła, a więc słońca, kąpiei i swobody.

Na zakończenie kolonii, którą zlikwidowano 25 b. m., odbyła się mała uroczystość z udziałem gości z Łodzi ks.ks. Stypulkowskiego i Świętlińskiego oraz u. Łukasiewicza, głównego organizatora kolonii. Podczas uroczystości zgotowano gorącą owację sprężystemu kierownikowi kolonii i zarazem miejscowej szkole, p. Zdzisławowi Sosnowskiemu, który za skarbił sobie głęboką miłość i szczerą wdzięczność dzieciarni.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.



## TEATRALJA.

Przysłowie się potwierdza. — Nieznany dramat Heinego. — Drobiazgi z za kulis.

Przewidywalność przysłowia o tem, że „nikt nie jest prorokiem we własnym kraju“ potwierdza się aż nazbyt często, a słuszości tej starej maksymy doświadczył niedawno znany pisarz włoski Pirandello, który jest obok Bernarda Shawa — najgłośniejszym dziś na obu półkólkach dramaturgiem. — Pirandello, któremu zarzucano niejednokrotnie, że najlepsze dzieła swej produkcji artystycznej wysyła przedewszystkiem za granicę, zaś kraj własny karmi jedynie odpadkami, wystąpił z gwałtowną obroną w jednym z dzienników rzymskich w celu usprawiedliwienia poczytywanym mu za złe sympatyj dla zagranicy. M. in. opowiada Pirandello cierniową drogę czterech napisanych w ostatnim roku przez się sztuk. Jedną z tych sztuk nie została wogóle przyjęta przez żaden z teatrów włoskich, inną zakwalifikowano do wystawienia w sierpniu, t. j. po właściwym sezonie teatralnym, trzecią sztukę autor musiał wycofać, ponieważ trupa, która ją grać miała, rozpadła się; ostatnią wreszcie ze sztuk zespół, który ją nabył chciał wystawić dopiero wówczas, gdy przekonano się o powodzeniu tej sztuki zagranicą. Tłumaczenia Pirandella wyglądają bardzo przekonująco, zwłaszcza dla tych, którym znany jest katastrofalny stan teatrów włoskich. I dopóki nie uzyskają one wydatnej pomocy, żaden patriotyzm nie pomoże, żeby autorzy włoscy nie szukali szczęścia i pieniędzy przedewszystkiem... zagranicą.

Niedawno zresztą rzymski teatr „Orfeo“ wystawił po raz pierwszy wiejską komedię Pirandella p. t. „Liola“, która napisana została jeszcze w r. 1916 w rodzinnym Pirandella sycylijskim dialekcie i grana już była na wielu scenach. Język literacki, w który przybrano „Liolę“ na scenie rzymskiej, odjął komedii sporo z jej wiejskiej świeżości, ale uczynił ją jednocześnie przystępną dla szerszej publiczności. Komedia ta wolna jest od wszelkiej problematyki i finezji myślowej, tak właściwych twórczości Pirandella; akcja zarysowana jest w szerokich, prostych konturach, toczy się żywo i zajmująco. Oto jej treść w niewielu słowach: Turza, siostrzenica bogatego, starego wieśniaka, spodziewała się, że zostanie jego żoną. Zamiast niej jednak żeni się ów wieśniak z Mitą, którą — jako uboga sierota — pomimo swej miłości dla namiętnego Lioli, nie może odmówić staremu. Celem tego małżeństwa są dzieci, które, oczywiście, nie rodzą się. Tymczasem Turza pozwala się uwieść Lioli, odrzuca jednak jego propozycję małżeństwa; doprowadza natomiast starego wieśniaka do tego, że zgadza się on uznać mające się narodzić dziecko za swoje. W ten sposób uzyska spadkobiercę, a drwin ki we wsi ustana. Ale dzielny Liola zajął się tymczasem Mitą, i to tak gorliwie, że ona może obwieścić staremu mężowi zbliżające się macierzyństwo no i wzmówić weń, oczywiście, ojcostwo. Ostatecznie, przebiegła Turza zostaje na łodzi, a bled-



Greta Garbo poza pracą filmową ubóstwia maleńkie dzieci, w których towarzystwie potrafią spędzać długie godziny.

na Mita, z pomocą Lioli, triumfuje na całej linii... Oto treść żywej, wesołej komedii Pirandella, tak różnej od wielu innych, jeśli nie wszystkich innych, jego utworów scenicznych.

Znany autor niemiecki, Fryderyk Forges wykończył niedawno nową sztukę p. i. „Człowiek w okowach“ („Mensch in Fesseln“), będącą dramatem o Henryku Heine. Sztuka dotyczy tragedii osobistej Heinego w ostatnich latach jego życia, a rozgrywa się na tle historycznych wypadków niespokojnego okresu z połowy XIX stulecia. Interesująca sztuka Forgesa ma podobno wystawić w nadchodzącym sezonie jeden z teatrów berlińskich.

Na zakończenie sezonu 1929-30 opera w



P. Stefania Jarkowska, występująca od roku na scenie Teatru Polskiego w Warszawie, spotyka się z coraz gorętszym uznaniem publiczności stołecznej.

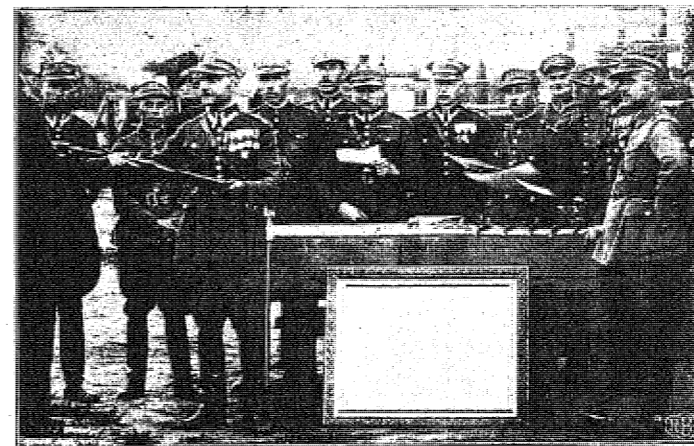
Kolonji urządziła specjalny „tydzień“, pomysłany jako retrospektywny przegląd całej działalności opery kołofiskiej w ostatnich czasach. Na zakończenie dano bardzo ciekawe widowisko, zawierające kontrastowe zestawienie dawnej i najnowszej muzyki. Obok nowo inscenizowanego „Orfeusza“ Monteverdi'ego (z r. 1607), wysłuchano modernisty Strawińskiego „Historji o żolnierzu“ oraz jego baletu „Le Sacre du Printemps“, wystawionego w Niemczech po raz pierwszy. Monteverdi'ego „Orfeo“, przedstawiony w przeróbce znanego kompozytora francuskiego d'Indy'ego, wywarł bardzo silne wrażenie. Drugim gwóździem wieczoru była inscenizacja baletu Strawińskiego dokonana przez Maxa Hofmuellera. Dzięki pomysłowym ewolucjom baletowym, pomysłanym w charakterze nowoczesnych scen i ruchów masowych, symboliczna treść muzyki Strawińskiego zyskała wiele na wyrazie, zaś oryginalna rytmika tej muzyki uplastyczniona została w nader szczęśliwy pod względem choreograficznym sposób. Wspaniałą całość tego baletu można nazwać „orgią rytmu“. Utwory Strawińskiego przyjęła publiczność z żywym zajęciem, oklaskując gorąco kierownictwo, reżysera i wykonawców.

Max Reinhardt, który oprócz swych teatrów berlińskich, prowadzi również dwa teatry w Wiedniu, powziął zamiar założenia wyższej szkoły teatralnej w tem mieście, na której czele sam stanie. Pomoc materialną przy założeniu tego „uniwersytetu sztuki dramatycznej“ ma okazać specjalne towarzystwo, które zawiązało się w tym celu, p. n. „Twa Przyjaciół Wyższej Szkoły Teatralnej w Wiedniu“. Szkoła Reinhardta ma zapewnić wysoką frekwencję uczniów, którzy do tej uczelni, prowadzonej przez znakomitego reżysera i praktyka teatru, zjeżdżać się będą niewątpliwie z całego świata.

Delta.



Przed kilku dniami wyruszyła z Łodzi wielka, bo kilkaset osób licząca pielgrzymka do Częstochowy. Pielgrzymkę zagnał słowem Bożem ks. biskup dr. Tymieniecki, udzielając jej błogosławieństwa pasterskiego.



Okręgowe zawody strzeleckie o mistrzostwo przysp. wojsk. D.O.K. IV w obozie p. w. w Rudzie pod Skierniewicami, zakończono uroczystym wręczeniem przez płk. Trojanowskiego nagród zwycięzcom.



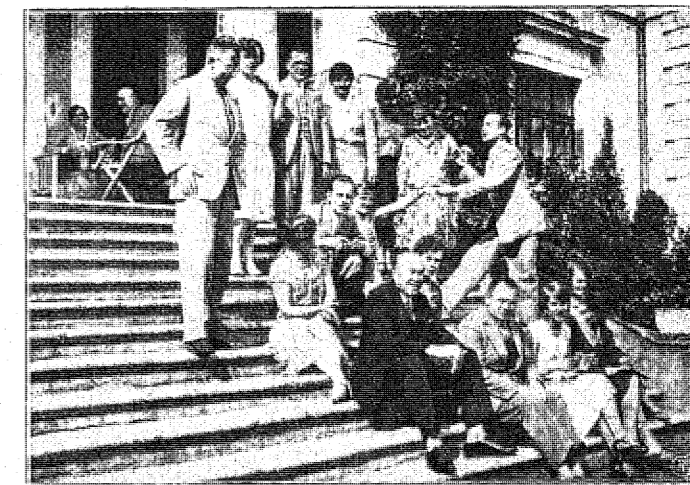
Ubogie i nieciekawe naogół okolice Łodzi posiadają jednak efektowne wyjątki, jak np. powyższy pałac w dominium Wojsławice pod Zduńską Wolą, własność pp. Siemiątkowskich.



W obozie przysposobienia wojskowego w Rudzie pod Skierniewicami przystąpiono do budowy siłami młodzieży pomnika ku czci Marszałka Piłsudskiego. Na zdjęciu kierownicy obozu i inicjatorzy budowy pomnika: 1) kier. Urzędu P. W. mjr. Ulatowski, 2) zastępca d-cy obozu kpt. Berger, 3) prof. Jakóbczyk i 4) red. Wołyński.



Zawody te odznaczały się niezwykle dużą liczbą uczestników wśród których okazała się również pani. Na zdjęciu ogólna grupa zawodników oraz sędziów.



Łodzianie na wywczasach letnich w pensjonacie „Wojsławice“, pp.: Romanowscy, Ruegerowie, Bechtordowie, panie Tokarzewskie, pp. Rago, Kossakowscy.





Fascynująca Mary Duncan w swej nowej kreacji filmowej.



Według wiadomości z Hollywood, Gloria Swanson rozwiodła się ze swoim mężem, markizem de la Falaise.



Dolores del Río, której bojęczna meksykańska n-  
roda dobrze jest znana bywalcom kina.



Victor Me. Langlen, jeden z najsympatyczniejszych aktorów filmowych.



Jak to donosiliśmy, przed kilku dniami we wsi Wierzbicy, pod Radomiem, zdarzył się wypadek „buntu“ chłopów przeciwko miernoczym, przybyłym celem dokonania scalenia gruntów chłopskich. „Bunt“ wybuchł na tle zabobonu, iż wymierzona ziemia przestanie rodzić. Przeciwno ciemnym kmiotkom, którzy przybraли wobec miernoczych groźną postawę, musiała energicznie wystąpić policja.



Ponieważ żadne perswazyje nie pomogły i chłopcy zachowywali się coraz agresywniej, musiano przeciwko nim użyć gazów łzawiących, które ostatecznie „przekonały“ kmiotków o ich bezgranicznej ciemności.



Na szczęście taki atak głupoty rzadko i tylko nielicznych nawiedza wieśniaków. Naogół lud nasz jest cichy, spokojny i wcale niegłupi. Gdy w dzień targowy spojrzymy na tłumy, przelewające się przez ulice małego miasteczka i handlujące z ipsis kupieckim sprytem, trudno byłoby nawet przypuścić, iż zdarzają się momenty takiego zbiorowego otumanienia.





Walasiewiczówna! — jedyna po Konopackiej — nasza nadzieja lekkoatletyczna do uzyskania tytułu mistrzyni świata na igrzyskach kobiecych w Pradze. Powyżej moment z wygranego przez Walasiewiczównę biegu na 100 mtr. w czasie 12,2 s. w Kanadzie.



Na starcie biegu kolarskiego dokoła ziemi kaliskiej 240 km.



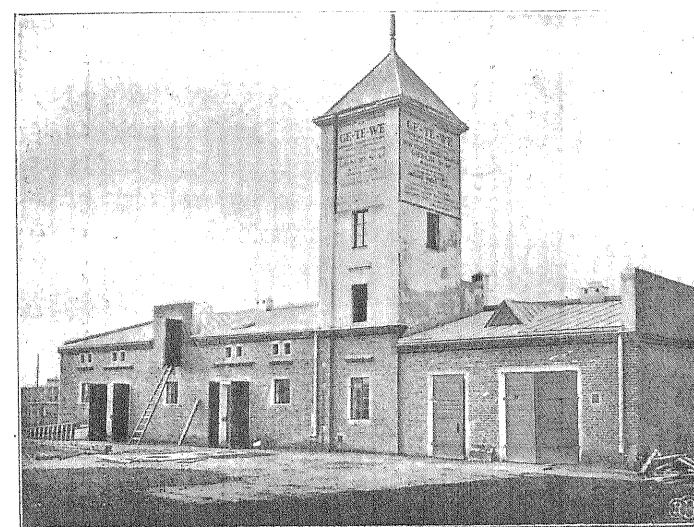
Świetna sztafeta 4x200 mtr. (K. Huta). Pierwsza od prawej Orłowska.



Polska przygotowuje się z wielką starannością do Olimpiady Kobiecej w Pradze. Powyżej dwa widoki z zaprawy lekkoatletycznej w obozie treningowym na Bielmach, gdzie zgrupowaliśmy nasze „asiatka” sportowe.



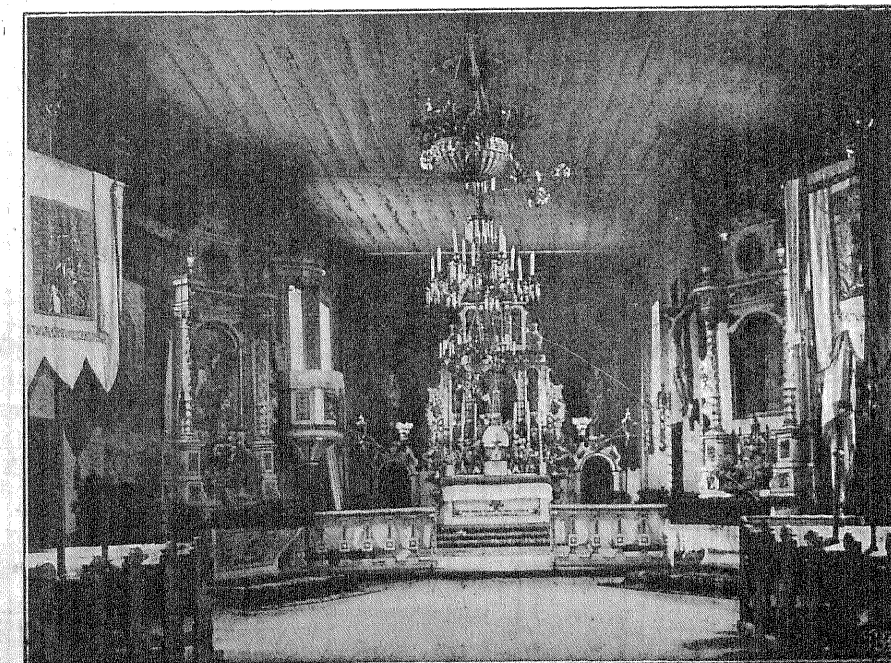
W tych dniach odbyło się uroczyste poświęcenie nowego własnego gmachu Towarzystwa „Ge-Te-We” — Górnośląskie Towarzystwo Węglowe biuro sprzedaży koncernu węglowego Giesche Sp. Akc. w Katowicach — oddziału w Łodzi przy ul. Srebrzyńskiej pod Nr. 16. Zdjęcie nasze przedstawia grupę uczestników uroczystości z dyrektorem Napoleonem Rowińskim w chwili po poświęceniu gmachu przez J. E. ks. biskupa dr. Tymienieckiego.



Fragment pięknego po europejsku urządzonego gmachu łódzkiego oddziału Towarzystwa „Ge-Te-We”, który wzniesiony został, dzięki zaakceptowaniu odpowiedniego projektu dyr. N. Rowińskiego przez prezydenta Spółki Akcyjnej p. Brooks'a oraz naddyrektorów Spółki pp. dr. Lowitscha i Schauera. Po prawej stronie fragment składu węgla, Towarzystwa „Ge-Te-We” przy ulicy Srebrzyńskiej Nr. 16.



Na zdjęciu powyższym widzimy kierowników katowickiej centrali Towarzystwa „Ge-Te-We” pp. inż. Alfreda Preissa i inż. Henryka Sachsa, którzy przybyli na uroczystość poświęcenia własnego nowego gmachu łódzkiego oddziału tego towarzystwa. W środku dyrektor łódzkiego oddziału „Ge-Te-We” p. Napoleon Rowiński.



Piękne wnętrze kościoła w Mieszkiach. Świątynia zbudowana jednonawowo posiada trzy ołtarze, ambonę i chór z organami. W głębi ołtarz główny oraz dwa ołtarze boczne. Na lewo skromna kazalnica.



## W przekletem lesie.

Od dwóch dni Ludwik Martin i Jacques Durand błądzili po olbrzymim lesie podzwrotnikowym, pokrywającym całą północną Kambodżę. Wyjechawszy z rana z „bungalowa” na ruinach Angkor-Vat, dali się porwać urokowi polowania. Krając śladami zranionego jelenia, stracili orientację i zabłądzili w tem morzu roślinnym o nieznanym i nieobjętych granicach.

W ciągu całych godzin szli niezmordowanie, nie tracąc nadziei, że odnajdą drogę, lecz w poszukiwaniach swych oddalili się zbyt daleko od brzegu lasu. Obecnie jednak uświadomił sobie, że zginęli wśród tej bujnej i wrogiej zarazem roślinności, która pochłonać potrafi całe miasta, jak uczyniła to z Angkor-Tom. Nad głowami ich rozpościerało się niezmiennie jednolitą zieloną sklepienie, przez które rzadko tylko przenikały błyskawice nieba. W dole, w gąszczu leśnym, dokąd światło słońca nie dochodziło nigdy, panował zielony półmrok o cieniu mogiły, na podobieństwo światła w ciemnym akwarjum.

Z grubej powłoki gnijących na ziemi liści i roślin unosiły się niezdrowe opary.

U schyłku drugiego dnia, Ludwik Martin zwałił się na ziemię. Napadła go febra leśna. Nogi uginały się pod nim, nie miał już siły stąpić kroku. W twarzy jego, bladej straszliwie dziwnym blaskiem gorzały oczy a szczyki jego dygotały, poruszone konwulsyjnie. Pojął, że jest już po nim i że pozostaje mu tylko kilka godzin do życia, ponieważ febra leśna w rzeczywistości nie jest niczem innym, jak tylko zakażeniem krwi i rzadko wypuszcza swe ofiary.

Jacques Durand pochylił się nad przyjaciela, starając się podtrzymać go na duchu, jak robi się zwykle u łóżka konającego.

Nie odpowiadając, Martin wzruszył ramionami. POCO wprowadzać go w błąd? — Wiedział dobrze, że nieubłagana śmierć czyha na niego i nie oddał się więcej.

Nastąpił zmierzch. W strefie podzwrotnikowej trwa, zaledwie minut kilka. Papugi przestały skrzeczeć na wierzchołkach wysokich drzew; miliardy owadów brzęczeć przestały; zamłki ich przerażający, ogłuszający koncert. W ciągu kilku chwil roje małp gonity się po drzewach, wydając okrzyki przenikliwe.

W końcu zapanowała wielka cisza czarnej nocy.

U Martina rozpoczęła się agonja. Od-

dychał ciężko, a zęby jego zgrzytały w mroku.

Jacques nie przestawał zajmować się konającym i drżącą ręką wycierał jego zroszone potem czoło.

Wtem zianacka o kilka kroków dał się słyszeć lekko szmer rozsuwanych piączy i deptanych liści.

Przyciągnięty jękami, pojmując, że przeciwnik bronić się nie będzie, pan lasu — tygrys podkładał się do swej ofiary.

Jacques jednak usłyszał go. opuszczając na chwilę przyjaciela, wziął fuzję do ręki, gotując się do strzału. Król-tygrys zamarł w bezruchu. Czujny, podejrzliwy, spostrzegłszy ruch nieoczekiwany, ukrył się w gąszczu.

Z palcem na cynglu, Jacques pozostał w postawie wyczekującej...

Wpobliżu wszystko zastygło na pozór w przerażającej ciszy. Słyszał jedynie obok siebie przyspieszony oddech konającego...

Tak upłynęło pół godziny. Nie będąc pewny, czy tygrys się oddalił, Jacques obawiał się opuścić swoje stanowisko. W końcu zdecydował się rozstrzygnąć sprawę i posunął się odważnie w kierunku, w którym domyślał się skrytki zaczajonego zwierzęcia...

Przeszedł zaledwie kilka kroków, gdy przeciągłe rżenie wstrząsnęło jego jestwem... W umiennaniu, że towarzysz jego czuje się gorzej, zawrócił z drogi.

Po omacku posuwając się w mroku, starał się odnaleźć miejsce, gdzie leżał umierający towarzysz i wołał głośno na niego... Jednak, choć nad słuchiwał, uważnie, nie doszła go żadna odpowiedź. Nie było wątpliwości, Ludwik Martin wydać musiał ostatecznie tchnienie.

Jacques w każdym razie pragnął odnaleźć jego ciało. We wszystkich kierunkach badał określony obszar, lecz było to bezowocne. Zniechęcony, postanowił odłożyć swe poszukiwania do rana i oparty o pień drzewa, czekał... Nie słyszał już króla - tygrysa.

Świt zbudził się nagle... Mroki nocy rozprzeczły się w ciągu kilku minut. W przebudzonym lesie odezwał się choć papuga i owadów, a małpy radośnie przeskakiwały z drzewa na drzewo... Z rozpaloną głową, uginającymi się kolanami, postąpił kilka kroków... Na gładkiej korze pobliskiego drzewa zauważył długie ślady zdrajcy - władca lasu tutaj czyścił swoje pazury.

O kilka kroków dalej miękka ziemia zachowała kształt ciała ludzkiego. O kilka

metrów od tego miejsca leżał kask kolonialny...

Jacques czuł jak jego zkołki chwytają go rączkami... Już nie mógł utrzymać się na nogach... Zaczynał majaczyć... Dziwaczne obrazy tańczyły przed jego oczyma...

Zianacka zdało mu się, że zewsząd otaczają go drapieżne zwierzęta i wypełniają ku niemu monstrualne żmje...

Przerażony, nastawił broń i zaczął strzelać we wszystkich kierunkach. I dziwna rzecz, wydało mu się, że słyszy echo strzałów, zbliżające się do niego... Zawrót głowy zatamował bieg jego myśli: utracił świadomość tego, co działo się wokół niego...

Gdy odzyskał przytomność, leżał na łóżku szpitalnym... Słyszał głos, dochodzący go zdala, oznajmiający o jego powrocie do życia, lecz był tak słaby jeszcze, że nie mógł tego pojąć...

Później znacznie dowiedział się, że ludzie, którzy wyszli na jego poszukiwanie, znaleźli go wreszcie, zwabieni odgosem jego wystrzałów... Znajdował się w opłakanym stanie...

Natomiast nie zdołano nigdy odnaleźć jego towarzysza... zatary się wszystkie ślady po nim...

Las przeklęty strzegł swej tajemnicy...  
Tłum. L. M.

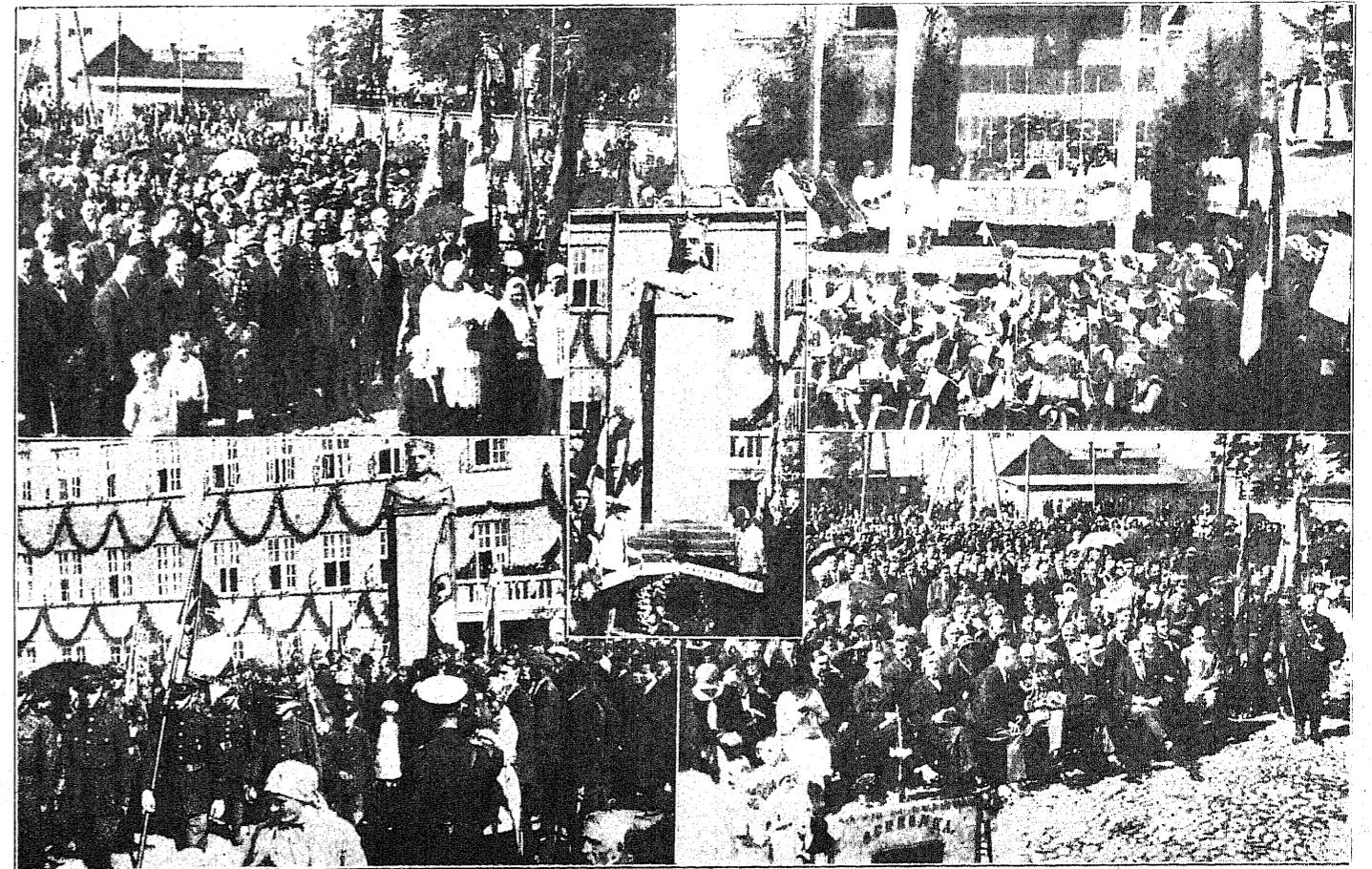
## Stójka.



Ponterka „Illi” p. inż. Romanowskiego pilnie „trenuje” przed rozpoczynającym się 1 września sezonem myśliwskim na kuropatwy.



## Święto Tuszyna.



Tuszyn, niewielkie, bo liczące zaledwie kilka tysięcy mieszkańców miasteczko pod Łodzią zdobył się na wysiłek, który mógłby być przykładem dla wielu miast dużych. Oto w ub. niedzielę odbyło się odsłonięcie pięknego pomnika założyciela miasta, króla Władysława Jagielly, z jednoczesnym poświęceniem i otwarciem imponującego gmachu szkoły powszechnej, której rozmiar i urządzenie stoją całkowicie na europejskim poziomie.

W uroczystościach, doskonale zorganizowanych przez burmistrza miasta p. Domowicza, wzięli udział przedstawiciele władz państwowych z p. wicewojewodą Różnickim, dowódcą O. K. gen. Malachowskim i starostą Rzewskim na czele, duchowieństwo z J. E. ks. biskupem W. Tymienieckim, liczne organizacje społeczne oraz tłumy publiczności i okolicznej ludności.

Na ilustracji kilka momentów z uroczystości, a więc odsłonięcie pomnika, nabożeństwo, przemówienie ks. Roszkowskiego oraz defilada oddziałów przysposobienia wojskowego przed pomnikiem.